

Tymieniecki, Kazimierz

Wczesne dzieje miasta europejskiego

Przegląd Historyczny 57/1, 137-153

1966

Artykuł umieszczony jest w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych, tworzonej przez Muzeum Historii Polski w Warszawie w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego.

Artykuł został opracowany do udostępnienia w Internecie dzięki wsparciu Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego w ramach dofinansowania działalności upowszechniającej naukę.

KAZIMIERZ TYMIENIECKI

Wczesne dzieje miasta europejskiego

Książka Edyty Ennen pt. „Frühgeschichte der europäischen Stadt” (Bonn 1953) stanowi samodzielną próbę ujęcia wczesnej historii miasta europejskiego. Zaczyna się od wiersza Rilke o smutku życia miejskiego. Autorka sięga dalej poza Europę i aż do Chin, ażeby wskazać na możliwość przetrwania tej „okropności” (miejskiej). Mimo to obraz średniowiecznego miasta jest w swym wyniku raczej pocieszający. W czym też, jak należałoby się domyślać, autorka znalazła pobudkę napisania swej książki. Wyznaję, że i dalsze strony tego wstępu posiadają wiele uroku. Tym większa zasługa autorki, że poziom naukowy książki nie został przez to obniżony. Tak bardzo przecież odbiegliśmy już od podobnych wyznań. Autorka wypowiada w dalszym ciągu pogląd, że współpraca historyka w poznaniu procesu umiastowienia i wszystkich tego następstw jest konieczna. Wypada się zgodzić z autorką, że socjolog (dzisiejszy) nie uwzględnia wyników nauki historycznej. Mniej bodaj uchwytne jest inny problem, który zajmuje naszą autorkę, a mianowicie czy proces umiastowienia jest stopniem osiągniętym w określonym momencie rozwoju, czy też umiastowienie rozchodzi się z pewnych tylko określonych miejsc. Nie musimy przeciwstawiać sobie tych dwu możliwości. Sama zaś problematyka zdaje się być zapożyczona od pisarzy socjologicznych, czy socjologizujących. W historii pewien przymus rozwojowy jest w ogóle mało uchwytne. Monokierunkowość nie jest problemem, z którym historyk dzisiejszy żyłby się na dobre. Co innego rywalizacja określonych prądów. Proces umiastowienia jest złożony.

W przypisku tylko autorka zgłasza zastrzeżenia odnośnie pojęć, których w tym wypadku używał T o y n b e e. Z cytowanym tu również H. P i r e n n e m widziałbym głębsze różnice, gdyż ten trzyma się silniej źródeł historycznych. W walce o ciągłość epok autorka powołuje się na Hermana A u b i n a, którego prace dotyczące Śląska są raczej tej ciągłości zaprzeczeniem. Tym, który mylnie nastawiał zwrotnice dziejów, był jednak w tym wypadku przede wszystkim A. M e i t z e n.

Właściwy autorce personalizm występuje w pozostawieniu człowiekowi historycznemu swobody wyboru czekającej go drogi. Ze zjawiskami masowymi ma się rzecz chyba jednak odmiennie i tego rodzaju problematyka zdaje się być dość obca czasom współczesnym. Powoływanie się na wytworzenie średniowiecznego życia miejskiego wydaje się chybiać całkowicie. Nie jesteśmy zgoła pod przymusem tego rodzaju stawiania problemu, a nawet jest on w tej postaci całkowicie czymś obcym i niespodziewanym. Autorka sama zresztą powołuje się chętnie na przykłady życia zbiorowego. Jest też w zupełnej zgodzie z historią, gdy pisze (s. 9), że „średniowieczna kultura miejska jest pierwszą prawdziwą kulturą miejską ludów germańskich”. W istocie w „Germanii” Tacyta trudno byłoby mówić o miejskiej kulturze w znaczeniu wiele późniejszym. Nie można jednak zapominać o całym okresie przejściowym, w którym nie było wprawdzie *sensu stricto* życia miejskiego, ale w którym i to w przeważnej części bez wpływu jakiegś znacznej jednostki mnożyły się zjawiska, które przygotowywały przejście do przyszłej kultury miejskiej. A to nawet spośród obcych przybyszów (*negotiatores et lixae* u Tacyta, oczywiście rzymscy, ale tacy, którzy zapominali również o swej rzymskiej ojczyźnie). We wcześniej-

szym średniowieczu zjawisko to powtórzy się na pograniczu nowej i dalszej peryferii słowiańskiej, również w warunkach masowych, przy których trudno jest mówić o zupełnie swobodnym wyborze dla jednostki.

W związku z powyższym samo wahanie się nasze między samodzielnością i niesamodzielnością w przejściu do kultury miejskiej wydaje się nieco sztuczne. Obecne tu są zapewne pierwiastki jedne i drugie, a jak w ogóle przy zjawiskach masowych nigdy bodaj nie dochodzi do świadomego wyboru wyrażanego symbolicznie figurą Herkulesa „na rozstajach”. Samo położenie Germanii Wielkiej, a w szczególności jej części wysuniętej bardziej na zachód, a przez dłuższy czas też na południe, decydowało o wcześniej dokonującym się zwrocie w kierunku jedności zachodniej (w rodzaju więc jednolitej koncepcji) L. Rankego „ludów romańskich i germańskich”. W późniejszych pracach, jak H. Pirenne'a, F. Ganshofa, F. Vercautere'na i innych, zjawisko to wystąpiło dopiero szczególnie wyraźnie. Zarysowuje się też, zgodnie z autorką, typ miasta zachodniego, ale i ten w dalszym ciągu uległ przemianom. W zasadniczych liniach obraz ten zdaje się jednak bardziej jednolity, zwłaszcza pod koniec średniowiecza. Większe bogactwo poznawanych zjawisk nie jest bowiem równoznaczne z bogactwem samych typów, gdy te mieszczą się dobrze w ogólniejszym schemacie.

W części głównej pracy autorka sięga bardzo daleko wstecz, aż do kultur Przedniej Azji, Egiptu i świata egejskiego. W dalszym ciągu mamy problemy nieraz sporne lub nierozwiązane do końca, które zmuszeni jesteśmy w tym miejscu omijać. Nasuwa się tu jedno tylko spostrzeżenie. Tradycyjność pewnych sposobów zabudowy jest zupełnie oczywista. Zgodnie z dawniejszą literaturą autorka tłumaczy to przeniesieniem z południa na północ wsi o typie miejskim bardziej odpowiadającym charakterowi południowca zamiłowanego w życiu gromadnym. W pewnych okolicznościach zachodzi przecież możliwość odwrotnej zależności. Kultura śródziemnomorska wynikała nie tylko z klimatu. Jeżeli wsie lotaryńskie mają wybitnie typ wielkich skupisk, może się to również łączyć z przesuwaniem się z południa tym samym szlakiem gospodarstwa latyfundiálnego. Zachód dzisiejszej Francji ze swym typem zgoła odmiennym nie został przez ten prąd w tym stopniu ogarnięty, podobnie zresztą jak i północ flandryjska. W każdym zaś razie granice pierwotnego etnosu (podstawa teorii A. J. Meitzena) nie są tu obowiązujące.

Wpływ handlu w tych odleglejszych okresach z pewnością już się zaznaczał. Musi to być już handel zorganizowany w rękach klasy kupieckiej, gdyż pierwotniejsze formy wymiany mają też miejsce na pograniczu sąsiadujących plemion i w określonym czasie. W tym znaczeniu targ niekoniecznie musi być miejscem najstarszego osiedla. W śródziemnomorskim świecie nordycka imigracja jest tylko hipotezą Schuchhardta. Historycy klasycznego świata, jak Hasebroek, protestowali przeciw zbytniej modernizacji antyku, do czego nasza autorka widocznie się skłania. Z dalszego toku myśli jednak wynika, jak to widzimy na przykładzie starego Laertesu, że pozostający poza granicami miasta wyłączały się również z udziału w życiu publicznym. Ten sposób życia, musimy dodać, jak najbardziej przypomina, na co już dawniej parokrotnie zwracaliśmy uwagę, słowiańskie społeczeństwo Pomorza znajdujące odbicie w żywotach Ottona bamberskiego. Np. Pani pomorska w roli przodownicy przy żniwie żywo przypomina właśnie ojca Odysseusza, ale życie polityczne rozgrywa się tylko w grodach. Formułka autorki (s. 27): *diese Bürger sind Herren* pokrywa się z tym najzupełniej, a nie inaczej było też na Rusi. Dostojnie możemy również przyjąć formułę autorki: *der Synoikismos des Adels wirkt stadtbildend*. To nie jest jeszcze miasto z przewagą cechów rzemieślniczych, choć niemniej przenoszenie się centrów ze wsi do miast możemy śledzić na podstawie danych archeologicznych i to właśnie również w ziemiach słowiańskich, a na Pomorzu nadbałtyckim pełniej aniżeli gdzie indziej. To, co autorka określa jako „fellachizację” chłopów, dałoby się w szczególności odnieść do tzw. smardów, smer-

dów, smurdów (słow.). W każdym razie procesy tego typu dokonywały się wśród Słowian w sposób samodzielny, a więc również przed pojawieniem się tzw. prawa niemieckiego (na wskroś feudalnego). Tzw. niekiedy dziś *Randvölker* przechodziły również samodzielnie te same procesy.

Słuszny jest również pogląd autorki, że polis antyczna stopniowo dojrzała. Dochodzi tu odrębność polis w zestawieniu z miastami przednioazjatyckimi. W ogóle typów miejskich jest niewątpliwie kilka, a w każdym razie więcej niż to zwykło się przyjmować przy zacieśnionym horyzoncie jednego tylko kraju. Ośrodkiem miasta greckiego była agora, która dopiero z biegiem czasu stawała się synonimem skupiającego się tutaj życia politycznego, gdy początki nie odbiegały od zebrań targowych. Agora zachowała lepiej swoje przewodnictwo, aniżeli targ (rynek) średniowieczny. Ale i antyczna agora miała obok siebie *bouleuterion* czy *prytaneion*, a nie możemy też zapominać o roli świątyń w życiu miejskim i to nie tylko okresu antycznego. Mieszczanie byli panami, według trafnej formuły autorki, choć oczywiście z ograniczeniami, w miastach średniowiecznych, w stosunku więc do władcy kraju, choć i w tym wypadku znajdujemy ograniczenia typu feudalnego. Ten sam bowiem pan, który nadawał miastu odrębne prawa, sam się czuł nimi ograniczony. Gdy je naruszał, mógł spotkać się ze sprzeciwem. W zachodniej Europie specyfika ta silniej wystąpiła. W tym średniowieczny feudalizm wyszedł poza typ ustrojowy *par excellence* antyczny. Ale i w renesansie włoskim, z jego tyranią na sposób antyczny, dawniejsza przeszłość znowu się odradzała.

Dla zachodu, jak sądzimy, najważniejszym punktem wyjścia był augustynizm i wynikające stąd prądy. Nad wszystkim jednak zapanować miał poliformizm. Pojęcie antyczne *demosu* najsilniej rozwinęło się w wielkich miastach głównie włoskich pod koniec średniowiecza, co pozwalało wyjść nawet poza granice sporów między kanonistami i romanistami.

Antyczna polis wzbogaciła więc kulturę miejską średniowiecza. W miastach etruskich silniej wystąpiły gentylny (rodowe) pierwiastki. Przetrwały one i w Rzymie, ale nie dominowały, najwyżej można by przyjąć tu dwukierunkowość. Nie będziemy też wchodzić w szczegóły dotyczące celtyckich *oppida* ani rzymskich miast Galii i Germanii. Są dane, na omówienie których brak tutaj miejsca, że wpływ okresu rzymskiego nie tylko instytucyjnie, ale nawet populacyjnie był bardzo znaczny. Alfons Dopsch, choć sam historyk, zwracał już uwagę na stronę archeologiczną całego tego zagadnienia. Ale obok archeologicznych, są również ślady historyczne, i to tak z czasów wcześniejszych Tacyta, jak i późniejszych. Podkreślenie formuły: *die Stadt ist eine Schöpfung des Herrentums* brzmi wobec powyższego przesadnie i może być błędnie rozumiane, przynajmniej jako całość obrazu. Jeżeli nawet rzymscy *negotiatores et liraz* nie utrzymali się w dotychczasowej postaci, to jednak nie oznacza zniknięcia wszelkich elementów obcych. Bliższe też stawały się czasy, gdy chrześcijaństwo przeniknął z południa (lub na północnym zachodzie z Irlandii, a także z rzymskiej Galii). Wcześniej też przenikał z imperium judaizm, jak o tym świadczą najdawniejsze ślady i znaczna liczebność Żydów w miastach (rzymskich) nad Renem. W przejściu do średniowiecznego okresu „germańskiego” zjawiska te, jak się zdaje, nie wystąpiły tak silnie. Doktryna o samodzielności germańskiej i pominięcie innych ludów antycznej Germanii, a w szczególności Słowian i w tym również wypadku da się z łatwością zauważyć mimo całego obiektywizmu autorki. Oczywiście ma ona za sobą znane słowa tak często i przez nas powoływanego Tacyta: *Nullis Germanorum populis urbes habitari satis notum est... colunt discreti ac diversi, ut fons, ut campus, ut nemus placuit*. Tak było kiedyś powszechnie, a w poważnej części i za Tacyta tak pozostało. Nie można się też dziwić, że obraz ten pozostaje dla niego zwykłym stereotypem. Niemniej ruchliwe i kipiące życiem handlowym podgrodzia markomańskie z tego samego Tacyta właśnie poznajemy. Ze dużą rolę odgrywał tu żywioł rzymski, trudno się dziwić, ale

i Germanie (np. Hermundurzy) przenikali głęboko w celach handlowych na terytorium rzymskie i władze rzymskie nie stawiały temu przeszkód. Stwierdzone na pograniczu germańskim archeologicznie podgrodzia, jako ośrodki życia gospodarczego, przypominają zresztą wcześniejsze przykłady celtyckie i późniejsze słowiańskie czy północnogermańskie. Podkreślenie odrębności germańskiej stało się jak gdyby „modą” w nauce historycznej niemieckiej (w sprawach osadniczych w sposób najbardziej typowy u A. Meitzena), ale dalsze badania wcale tej przyrodzonej odrębności nie potwierdzają. Nie wpadajmy jednak w drugą ostateczność. Pewne odrębności (np. bardzo wczesna przypuszczalnie odrębność rasy bydła germańskiego) dadzą się zauważyć między samymi ludami barbarzyńskimi. W sprawach miejskich poza pewne zapóźnienia, właściwe wszystkim ludom północnym, również Germanie bodaj nie wychodzili. W szczególności dotyczy to ludów lądowych, gdyż ludy morskie wcześniej nawiązywały dalekie nawet kontakty.

Następny z kolei rozdział autorka poświęca światu germańskiemu i stosunkowi tegoż do miejskich form życia. Zagadnienie to rozkłada na dwie części, mianowicie chodzić tu będzie: 1) o poszczególne elementy życia miejskiego występujące u Germanów; 2) o konkretne w danym wypadku podstawy tworzenia się miast i to niezależnie od przestrzennego zetknięcia się z miastami rzymskimi. Możliwe, że autorka miała tu na myśli zapoznanie się przez Germanów z miastami rzymskimi. Czy mieści się jednak w tej dość teoretycznie postawionej problematyce inne jeszcze zjawisko, a mianowicie wkraczanie rzymskiej przedsiębiorczości (*negotiatores et lizae*) na obszary niewątpliwie dotąd germańskie (po drugiej stronie limesu rzymskiego)? Te roily się już od „spekulantów”, jakbyśmy dziś powiedzieli, rzymskich. Jednocześnie wyroby rzemiosła rzymskiego, w tym wypadku zwłaszcza artystycznego, a więc na najwyższym poziomie ówczesnej techniki, dosłownie zalewały obszary aż po Bałtyk. Grupa miejscowych odbiorców ograniczała się do kół społeczeństwa miejscowego najwyżej położonych. Te obiekty artystycznego rzemiosła rzymskiego z Italii czy Galii znajduwane są w grobach nazywanych dziś słuszniej książeńcami, gdy dawniej przypisywano im bez żadnych do tego podstaw charakter grobów „gockich”. Groby „książeńce” znajdują się na całym obszarze zamieszkiwanym przez Wenedów, które to imię oznaczało dawnych Słowian, ale drogi nad górną czy średnią Wisłę lub Wartę, wraz z ich dopływami, prowadziły z konieczności przez kraje zamieszkiwane przez germańskich Swewów, gdy wiodły one z południa (od Italii), lub tychże Swewów i także Gotów, gdy prowadziły z zachodu (od Galii). Wielkie państwo szwewskie (Marboda i jego następców), dziś niesłusznie pomijane przez historiografię zachodnią, samo było przesiąknięte wpływami śródziemnomorskimi i mogło nadmiar tych oddziaływań przekazywać dalej. U Rzymian sama nazwa Wenedów — słowiańskich — występuje w brzmieniu germańskim (jak to ustalił T. Lehr-Spławiński). Jeszcze XVIII w. w historiografii współczesnej (np. powstałej we Wrocławiu) dużą wagę przypisywano państwu Marboda. Dopiero w okresie romantyzmu prąd antyrzymski przekreślił jego rolę. Piewszeństwo przed nim oddano Arminiuszowi-Hermanowi, którego rola była bez porównania mniej znaczna; romantyzm dopatrył się w nim nieszczęśliwego, lecz bohaterskiego wyraziciela samodzielności germańskiej. Otóż z państwa markomańskiego Marboda, czy późniejszego kwadzkiego Wanniusza, wychodziły prądy mniej może romantyczne i bohaterskie, ale w konkretnej rzeczywistości bardziej płodne w następstwa. One to otwierały drogę wpływom rzymskim i śródziemnomorskim zwiastującym w przyszłości nowsze i głębsze przemiany w krajach nie tylko swewskich czy gockich, ale również wenedzkich (słowiańskich).

W kulturze materialnej znajdowały one swój wyraz nie tylko w rozszerzeniu się daleko na kontynencie południowoeuropejskich wpływów, a ściślej biorąc nawet obiektów artystycznej kultury klasycznej i prowincjonalnego artystycznego

rzemiosła rzymskiego (produkcji metalowej i ceramicznej). Znajdowały też wyraz w powstawaniu na miejscu (ziemia śląska, krakowska i Łysogóry) ośrodków przemysłowych na ziemi wenedzko-słowiańskiej, w ramach formacji niewolniczej, jedynie właściwej całemu temu okresowi. Stąd też pochodziła masowość wyrobów z rudy żelaznej Śląska, czy zwłaszcza Łysogór i masowa również wytwórczość ceramiczna (z użyciem koła garncarskiego, w czasach późniejszego regresu ponownie zarzuconego). W ziemi krakowskiej Germanie w produkcji żelaza nie mogli być nauczycielami Słowian (Wenedów), gdyż sami u siebie (w najbardziej zaawansowanym państwie swewskim) wyręczał się celtyckimi Kotynami. Od oceny uczonej książki pani Edyty Ennen oddaliśmy się tylko pozornie, gdyż z wywodów naszych zdaje się jasno wynikać, że przeskakiwanie wpływów dawniejszych kultur nie tak łatwo da się osiągnąć w prawdziwej rzeczywistości.

Pytanie, czy Germanie mieli miasta, ma charakter bardziej retoryczny. Należałoby raczej zapytać, co rozumiemy przez wyraz miasto (*Stadt*)? A w dalszym ciągu ustalić sam stopień jego rozwoju. Dyskusję podobną możemy również przeprowadzić w odniesieniu do miast słowiańskich. Sama nazwa miasta nie rozpowszechniła się u Słowian wschodnich i południowych, a tylko zachodnich. Czy u pierwszych nie było w ogóle miast? Bodaj czy dziś ktokolwiek odważyłby się w ten sposób stawiać problem. Różnica między tymi pojęciami mimo to istnieje i istniała zawsze. Przypomnijmy jednak podaną wyżej definicję wybitnego geografa *Réclus*, który w odniesieniu jeszcze do czasów dzisiejszych przeprowadził różnicę między miastami przemysłowymi i administracyjnymi. Ten podział dotyczy i czasów współczesnych (por. np. przed ostatnią wojną Łódź przemysłowa i Lwów administracyjny). Oczywiście mogły być wypadki przejściowe i to w różnej skali przewagi jednego z typów. Miejsce słowiańskich grodów, przy wyborze jednego z tych dwu określeń, nie trudno jest określić. Co jednak zrobić z zachodniosłowiańskim miastem? Wyodrębnienie z grodu miasta i moment, gdy to nastąpiło, da się uchwycić i zwrócić już na to uwagę jeden z młodszych naszych „urbanistów”-historyków (*T. Lalik*). Tak samo jest z niemieckim *Burg* i *Stadt*. Przy tworzeniu czeskiego i polskiego miasta korzystano chyba z niemieckiego *Stadt*, ale poza to trudno wyjść dalej. W krajach z domieszką drugiej narodowości (języka) łatwo jest pomylić infiltrację (odgórną lub oddolną) z charakterem głównym lub przeważającym.

W związku z tym nasuwa się jednak pytanie o starszeństwo jednego z tych dwu pojęć, to znaczy grodu i miasta. Wypowiadamy się zdecydowanie po stronie pierwszego. Oczywiście pierwszeństwo chronologiczne, co jednak dla pewnych okresów łączy się ze znaczeniem. Zacznijmy od „wiecznej” Romy, która — jak się wyraził uczony amerykański pochodzenia włoskiego — nie była miastem komersantów. W miastach greckich czy italskich, w polis czy *civitas* siedziały stare rody, gdy periojkwowie i plebeje zamieszkiwali przedmieścia i trzeba było nieraz długich wieków, ażeby „tryby” (*tribus*) zastąpiły *gentes*. Oczywiście rody były dawniej z miejscem związane, gdy plebeje przychodzili z całego świata. Wielki rozwój niewolnictwa w późniejszej starożytności przyczyniał się również do zmiany panującej atmosfery. Północ europejska we wczesnym średniowieczu wykazuje z tym podobieństwa, ale też i różnice. Celtowie, wahający się między północą i południem, choć z tendencją przesuwania się w ostatnim kierunku, mieli bardzo rozwinięty system grodowy (por. *C. Jullian*, „*Histoire de la Gaule*” t. II, Paris 1909, *passim*). Podgrodzia (handlowe, np. w Irlandii) raczej się zapóźniały wobec dalszych i bliższych sąsiadów. Wśród Germanów przez długi czas podgrodzia były słabo rozwinięte, czyli że dominowały wciąż jeszcze grody. W okresie jednak jeszcze rzymskim (cesarskim) podgrodzia, w części swewskiej, bardzo się rozwinęły, ale dzięki ludności obcego pochodzenia. Świadcami naszym jest sam *Tacyt*, a żadna inna relacja temu się nie sprzeciwia. Odkrycia archeologiczne nad Renem i Dunajem w zupełności to potwierdzają. Grody z czasów *Marboda* i jego swewskich (markomańskich

czy kwadzkich) następców budowali germańscy Swewowie (por. urządzenia wojenne na sposób rzymski, a też i skarbowe za Wanniusza), ale podgrodzia („miasta”) ożywili potępieni przez Tacyta za chciwość i egoizm *negotiatores et luxae*. O tych rzeczach nie można zapominać, jeżeli przy innej sposobności kładzie się tak wielki nacisk — nie mamy w tym wypadku na myśli E. Ennen — na współudział obcego etnicznego elementu i to z wielką przesadą w stosunku do posiadanych danych. Czy mamy jednak prawo z kolonii obcych w najbardziej rozwiniętym kraju germańskim czynić ogólną zasadę? Tego nie twierdzimy, a w szczególności w sposób tak zdecydowany, jak to się dość powszechnie zdarza w stosunku do miast słowiańskich ze strony wielu uczonych niemieckich.

Obok grodów i podgrodzi (czy ta ostatnia nazwa była w powszechnym użyciu przede wszystkim u samych Słowian? pewne dane — por. T. Lalik — wskazują, że tę rolę spełniały właśnie „miasta”) mamy jeszcze targi. W nauce niemieckiej powstała nawet oddzielna teoria „targowa” (*Markttheorie*), której twórcą i pierwszym reprezentantem był Rietschel. Trzeba jej również przypisać znaczną rolę w nauce polskiej, a to odnośnie miast rodzimych. Wielkiej roli targów w życiu narodów wczesnohistorycznych niepodobna zaprzeczyć. Mimo to jednak targ nie był tym samym, co miasto. To ostatnie łączy się z miejscem bardziej ustalonym, a do tego dawniejsze grody bardzo były przydatne. Natomiast targi odbywać się mogły w miejscach nie ustalonych i nawet nie zamieszkałych, jak np. na pograniczu dwu ludów czy plemion, a również — co mogło się z tamtym pokrywać — na pograniczu dwu stref gospodarczych. Toponomastyka daje tego przykłady, w pozostawionych nazwach (Tarzek, Tarczek, Torzek) i to właśnie w miejscach, gdzie spotykają się ze sobą strefy odmiennej produkcji, jak np. tereny rolnicze z terenami leśnymi (np. Tarczek kielecki i same także Kielce lub Tarzek śląski i podobne nazwy na Rusi bliższej i dalszej, lub w innych jeszcze miejscach Słowiańszczyzny). W czasach już ściśle historycznych prawa targowe były ściślej z osobami mieszkającymi związane niż z miejscem. Germańskie *oppida*, którym poświęca również uwagę E. Ennen, nie różniły się zasadniczo od *urbes*, a to w znaczeniu również etymologicznym. Były więc raczej grodami. A jeżeli obok nich, lub pod ich ochroną, rozwijały się targi podgrodowe i to z biegiem czasu coraz liczniejsze, a przede wszystkim gromadziła się pod ich osłoną w „miastach” albo „podgrodziach” (*suburbia*) ludność stale tam przebywająca, czyniła to dla ochrony, jak i dla łatwiejszego nawiązywania stosunków.

Wreszcie wchodzi też w grę zjawisko, które charakteryzuje zwłaszcza ludy morskie, a mianowicie bliskie sąsiedztwo handlu z korsarstwem. Przed korsarzami miasta cofały się w głąb lądu, jak być może sam Rzym najdawniejszy, na siedmiu wzgórzach z natury obronnych wybudowany. Chronienie się przed napastnikami z morza było zjawiskiem bardzo pospolitym zwłaszcza w starożytności. Wsuniecie się naprzeciw niebezpieczeństwu było już dowodem zwiększonej siły. Wielkie ruchy ludów mogły jednak przychodzić również z kontynentu, co było zjawiskiem raczej już późniejszym (Wenecja i jej położenie na lagunach) i na ogół rzadszym, a dotyczyło głównie czasów mocno i na dużych przestrzeniach zanarchizowanych. Obycie się z morzem dawało też wielką przewagę osiąganą nieraz *per fas et nefas*. Ludy skandynawskie osiągały w tej dziedzinie duże nieraz sukcesy i odczuły to nawet stare cywilizacje z kontynentu. To samo dotyczyło również Celtów, którzy wiele stąd ucierpieli. W tym i podobnych wypadkach handel graniczył tylko o krok z piractwem, zaś piraci morsecy chętnie osiadali w miastach portowych (np. Dublin). Na urbanizację kraju oddziaływało to w słabym tylko stopniu. Większe możliwości otwierały się dopiero wówczas, gdy z ruchami ludnościowymi łączyły się również wpływy cywilizacyjne (np. bizantyzyzm na wschodzie, a zachodniego chrześcijaństwa w kierunku środkowej i północnej Europy). Z tłem politycznym łączyły się dalsze przemiany cywilizacyjne. Czynniki kościelny, podobnie jak i polityczny,

wpływał na rozwój miast (podgrodzi). Do stabilizacji stosunków było w każdym razie daleko.

Następny rozdział traktuje o sposobie rozszedlenia Germanów, w oparciu o Tacytyta. Dalej rozróżnia autorka gród i miasto przypisując pierwszemu znacznie większe zagęszczenie. To w zupełności zgadza się z naszymi obserwacjami analogicznych urzędzeń u Słowian. Ale w takim razie dokąd prowadzi późniejsza parantela samego pojęcia miasta! Do grodu, zwłaszcza że nie jest on tylko miejscem obronnym, lecz będąc skupieniem władz politycznych i ośrodków kulturalnych (też kultowych) odgrywa rolę późniejszego „miasta” typu administracyjnego. Ale i handel czy rzemiosło nie skupiają się wyłącznie w podgrodziu. A co nie mniej ważne, klasa wojownicza (np. u Normanów późniejszych, ale też u Słowian, w szczególności w rejonach bliskich morzu) zajmuje się wybitnie handlem. To ostatnie zjawisko jest o wiele powszechniejsze dla różnych krajów i epok w ciągu dużej części antyku i z pewnością niemniej we wczesnym średniowieczu, gdy zaburzenie ogólne na terenie całej Europy bardzo znacznie wzrosło.

W powstawaniu miast obok czynnika gospodarczego dużą rolę odgrywał czynnik polityczny. Stąd pochodzi znaczenie miast będących ośrodkami politycznymi i kultowymi. Wspomnijmy jeszcze, że „burg” (*bourg*) średniowieczny jest macierzą *foris burgium* (*faubourg*), co w naszym języku tłumaczymy po prostu „przedmieście”. Tu miasto wchodzi w prawa dawniejszego grodu, a więc nie tylko zwykłej fortecy (pojęcie zresztą późniejsze), ale także centrum życia politycznego, kultowego i wreszcie gospodarczego, gdyż tutaj płyną daniny i opłaty z „niższych” części całego skupienia osadniczego. Gród w dzisiejszym „miejskim” znaczeniu jest stanowczo starszy od wyodrębnionego miasta. W języku zachodnich Słowian samo to rozejście się „grodu” i „miasta” ma w tych dalszych (nie początkowych) przemianach swe uzasadnienie. Ostateczny stąd wniosek będzie ten, że „narodowe” traktowanie wszystkich tych różnic kryje w sobie poważne niebezpieczeństwo. Wśród Słowian przywykliśmy uznawać wcześniejszy rozwój życia miejskiego (handlowo-rzemieślniczego) po stronie Niemców, ale to samo było kiedyś w zestawieniu Rzymian z Germanami (Swewami zwłaszcza czy też Gotami), a podgrodzia z czasów Marboda czy Wanniusza są tego najlepszym dowodem.

Nie wyklucza to zresztą zachowania się w pewnych okresach dalszych jeszcze odmian. Pod warownią samego Marboda (w dzisiejszych Czechach, ale ówczesnych markomańskich lub szerzej biorąc swewskich, a dalej biorąc jeszcze celtyckich, a jeszcze dalej iliryskich) osiadali rzymscy „grosiści”, jak byśmy dziś powiedzieli, ale górnicy i ich całe górnicze osiedla zachowały jeszcze dawniejszą ludność celtycką (dawniejszą od Swewów, a tym bardziej rzymskich *negotiatores et lizae* na podgrodziach). Te ostatnie wyrastały później i w oparciu o ludność obcą, która ostatecznie decydowała o charakterze nowej osady, ale wobec mniejszej liczebności przybyszów nie mieli najczęściej widoków utrzymania się tutaj na stałe. Mogło to pociągnąć za sobą pewien regres gospodarczy, ale nie musiało i nie w każdym wypadku, a to zależało głównie od szerszego otoczenia i od zdolności przejścia nowego trybu życia. Źródła rzymskie i greckie (z wschodniej części imperium) bardzo silnie przemawiają za tym, że takie siły kulturotwórcze w środowisku swewskim I i II w. n.e. były bardzo znaczne. Wiek III był na ogół okresem regresu, choć pewne niespodzianki są również możliwe. Wiek V i następne były czasami usuwania różnic między dawnym *imperium* i dawnym *barbaricum*. Czy w tych warunkach należy mówić o niezmiennych typach osadniczych „germańskich” czy „rzymskich”? Używanie w miejsce pierwszego z nich określenia „niemiecki” jest bardziej jeszcze kłopotliwe.

Wcześniej więc różne ludy pozostawały ze sobą we wzajemnych relacjach. Idealizacja społeczeństw wczesnohistorycznych — charakterystyczna zwłaszcza dla historiografii dawniejszej w związku z współczesnymi tendencjami wolnościowy-

mi — nie liczyła się często z istotnym stanem rzeczy, który możemy poznać z najbliższych relacji. W okresach nawet od siebie w czasie oddalonych możemy spotkać uderzające niekiedy podobieństwa wynikające z podobnych w gruncie rzeczy warunków. Już cytowaliśmy scenę z jednego z żywotów św. Ottona bamberskiego, przypominającą mocno gospodarstwo Laertesza, ojca homerowego Odysseusza. Nie przypuszczamy tu zapożyczenia się, gdyż na to brak wszelkich dowodów, ale podobieństwo sytuacji. Z faktu pracy przy żniwie możnej osobistości nie wynika jeszcze demokracja chłopska. Termin stanowy „chłop” może być w obu wypadkach nie do użycia. Niemniej obcość stanowa mogła być w obu wydarzeniach nie tak znaczna, jak to miało miejsce kiedy indziej.

We wszystkich tych wypadkach operowanie pojęciem „germańskiego” chłopca wymaga ostrożności już z tego chociażby względu, że do pracy na roli zaprzęgano również niewolnika. Różnice między niewolnictwem rzymskim i germańskim były znaczne i nie będziemy się w tym miejscu nad nimi zatrzymywać, ale sama instytucja niewoli da się i tu i tam odnaleźć. W dalszym ciągu autorka wprowadza pojęcie „pan” (*Herr*) właśnie do miast, w czym zdaje się mieć słuszość, gdyż w miastach rządzą niewątpliwie „panowie” i to od czasów najdawniejszych. Przeciwwstawienie mieszczaństwa szlachcie rodowej jest z pewnością pojęciem późniejszym i powstało w związku z emancypacją szerszych warstw miejskich, co było już zjawiskiem pochodnym. W miastach najdawniejszych tradycję miejscową reprezentowali eupatrydzi i patrycjusze, a nie metojkowie, czy choćby okoliczni perioj-kowie, którzy dopiero później dochodzili do głosu. Dodać jeszcze trzeba, że miasta najstarsze, opierające się na wielkich rodach wraz z ich klientami, co w średniowiecznej polszczyźnie oddawano doskonale słowem „chlebojedźca”, nie były jednostkami zwartymi z powodu właśnie rywalizacji rodów (wielkich). To co znajdujemy w miastach greckich (np. Ateny) i w Rzymie odnajdujemy zupełnie wyraźnie na Pomorzu z czasów misji Ottona bamberskiego. Miasta są w rękach panów i to dziedzicznych, a z czasem również korporacji duchownych (klasztery chrześcijańskie), gdy tymczasem demokracja miejska i to włącznie z jej cechami jest późniejszego pochodzenia. Wytworzenie się demokracji miejskiej było więc niewątpliwie zjawiskiem późniejszym, jakkolwiek fakt ten nie wykluczał narastania nowej arystokracji. Wielkie rody kupieckie, które w późniejszym średniowieczu dochodzą nieraz do władzy, także reprezentują, zwłaszcza w początkach, wpływy pochodzenia obcego, gdy potem wrastają nieraz bardzo głęboko w grunt miejscowy.

W związku z powyższym można również postawić pytanie dotyczące obu tych kwestii, tj. arystokracji i demokracji, panów i chłopów, a to w stosunkach wiejskich. Czy demokracja jest tu również zjawiskiem późniejszym, jak w miastach? Musimy przy tym ustalić, że w pojęciach arystokracji czy demokracji tkwią od początku pierwiastki nie tylko obecności na miejscu, ale także i udziału we władzy. Najpospolitsze pojęcie człowieka albo chłopca jest wszędzie właściwie równoznaczne z pojęciem niewolnika, a w każdym razie człowieka zależnego (ruski *czelowiek*, tyle co służący, jeszcze za naszej pamięci; u nas „ludzkie bydlę” oznaczało bydlę należące do służby folwarcznej). W zestawieniu z powyższym chłop jako wyraz demokracji stanowiłby więc *contradictio in adiecto*. Chyba, że był chłopem zbutowanym przeciw swemu panu. Czy jednak nie jest to pozostałość ostatniego okresu poddańczego? Za tym przemawia szereg ważkich argumentów. Poddaństwo w okresie od XVI do XVIII w. miało wyraźną tendencję do zaostrzenia się, co wynikało już z samego podziału na stany. Bowiem stan, który doszedł do władzy, miał możność i zachętę do wyzyskania sytuacji na swoją korzyść bądź w ustawodawstwie państwowym, bądź jeszcze bardziej ziemskim, bliższym spraw miejscowych. W ten sposób można było też dojść do identyfikacji chłopca z poddanym (tj. pana). W ten sposób dochodzimy do odkrycia formy najdawniejszej, gdy chłop (człowiek) był równoznaczny z mężczyzną, a stąd też pochodzi utrzymujące się jeszcze długo

później zestawienie „chłop i baba”. Czy w innych językach sprawa przedstawia się inaczej? Nie tylko epoka, ale i kraj przynosi zapewne odmiany, ale i podobizn lekceważyć nie należy. W każdym wypadku rzecz musi być bliżej zbadana.

W całej tej kwestii punktem wyjścia będzie dla nas Tacyt, jako najbliższy i najbardziej wiarogodny świadek. Według niego podstawową instytucją całej Germanii, obejmującej tak Swewów czy Gotów, jak i Wenedów, były *gentes et cognationes*. Podwójne określenie ma swoje bliższe uzasadnienie w związku tej hierarchii, jaką miał pisarz rzymski na myśli, z całością życia społecznego i nawet politycznego. Z tekstem Tacyty bardzo trudno jest pogodzić określenie E. Ennen „pana chłopą” (*Herr Bauer*). Sprzeciwia się temu zrównanie przez Tacytę Wenedów (Słowian) z innymi ludami szeroko pojętej Germanii (ludy swewskie, tj. zachodni Germanie i obok nich północni Goci, ale dalej ku wschodowi też słowiańscy Wenedzi). W niemieckim *Bauer* dominuje ten, który uprawia, gdy w słowiańskim „chłop” na czoło wysuwa się ten, który jako mężczyzna spełnia wszystkie gospodarcze czynności w swym zakresie. Można by więc powiedzieć, że w obu wypadkach chodzi o to samo. Do tego jednak trzeba dodać, że różnice majątkowe mogą być w tych ogólnych ramach owych *gentes et cognationes* nawet znaczne. Tylko że granice między jednymi i drugimi mogą być mniej widoczne. Te rosną zwłaszcza pod wpływem warunków politycznych — por. w czasach późniejszych Słowian pomorskich za Ottona bamberskiego. Wiadomo zresztą, że Tacyt akcentuje w szczególności słabość samych *reges* i skupienie się życia politycznego w rodach. Zrównanie w tym wypadku Słowian i ich przodków z Germanami wpływa wprost ze słów Tacyty. Moglibyśmy wprawdzie wyodrębnić przywódców rodowych spośród reszty, ale do tego właśnie brak u pisarza rzymskiego wszelkich danych. W tym stanie dopiero wmieszanie się Germanów w sukcesję rzymską wprowadziło znaczne zmiany.

Późniejszych wielkich feudałów trudno byłoby wyobrazić sobie bez domieszki praw politycznych. Sam feudalizm na terenie rzymskiej Galii wyrastał wcześniej i silniej, a sięgał swego apogeum w XI w., a to gdy w feudalizmie będziemy widzieć przede wszystkim rozkład dawniejszych urządzeń państwowych. Można co prawda w powyższym wypadku użyć niemieckiego terminu *Grossbauern*, lub jego słownikowego odpowiednika, ale można wątpić, czy dopomoże to do rozjaśnienia sprawy. Niewolni, których z pełnym prawem przeciwstawiamy wolnym, w społeczeństwach barbarzyńskich nie są jeszcze zbyt liczni, a w każdym razie ich liczba i znaczenie społeczno-gospodarcze nie może się równać z niewolnictwem krajów śródziemnomorskich. Wiadomo, że sprawa tu komplikuje się przez coraz liczniejszych wyzwolenców. Na tę drogę wstępowali też częściowo barbarzyńcy i to zapewne pod wpływami rzymskimi. Pełny rozwój klasy chłopskiej, osobiście w znacznej części wolnej, ale gospodarczo zależnej, należy już do średniowiecza, a głównym tej klasy poprzednikiem będzie chyba kolonat rzymski. W każdym zaś razie nie możemy traktować całego średniowiecza, też w zakresie stosunków gospodarczo-społecznych i w szczególności chłopskich, w oderwaniu od poprzedzającej epoki.

Przeniesienie punktu ciężkości z rzymskiego cesarstwa na barbarzyńców germańskich jest jednym ze złudzeń romantyzmu. Taką, a nie inną ciągłość z przeciąganiem się tego procesu aż do XI w. wykazują między innymi nowsze prace monograficzne, jak w szczególności znakomite dzieło G. Duby dotyczące środkowego rejonu Francji tego okresu. W miastach nie było inaczej, a nawet ciągłość ta da się wykazać w sposób jeszcze bardziej oczywisty.

W powyższym naświetleniu jaśniej wystąpią dalsze różnice poglądów, ale także i punkty styczne. W antycznych poleis demokracja nie była punktem wyjścia, lecz objawem późniejszym i często zakończeniem dłuższego rozwoju. Gdybyśmy chcieli skorzystać z tej analogii również do germańskiego procesu rozwojowego byłibyśmy bliżsi F. Keutgena aniżeli dawniejszego G. Waitza i innych, tj. całej tej

wielkiej grupy uczonych niemieckich, którzy stali pod wyraźnym wpływem romantyzmu. Do źródeł „literackich” doszły z czasem też źródła archeologiczne. Tzw. „groby książęce” będą wyrazem tych samych właściwości ustrojowych. W ten sposób rozumiany obraz życia społecznego ma związki z życiem na wsi, ale nie z klasą chłopską, przez którą — w znaczeniu późniejszym — rozumiemy klasę zależną, a nie panującą. Nasza autorka zbliża się do tego ostatniego poglądu w słowach: *Sicher hat die frankische Grundherrschaft auch aus der Berührung mit spätrömischen Zuständen Nutzen gezogen.* „Także” stąd. A więc jak gdyby chodziło tylko o prąd dodatkowy. To już wiąże się z innym poglądem autorki, a mianowicie na zaludnienie państwa frankońskiego. Odpowiedzią być może brak nazw germańskich na obszarze dawnej Galii rzymskiej i panowanie tam w przeszło 90% nazw rzymskich (pozostałych niespełna 10% przypada na chrześcijańskich świętych). A jeżeli zgodzimy się na „rustykalny” charakter „stanu panów” (czy nie lepiej „rodowej” starszyny!) to przeprowadzenie do nich klasy „chłopów” jeszcze większą sprawić będzie udrękę.

Zgoda w pełni na różnice w samym osiedleniu z czasów germańskich i ze średniowiecza, choć już podstawa geograficzna w obu wypadkach będzie różna, a musi to każdego bardziej zastanowić. A więc na terytorium rzymskim przejście od antycznej *villa* — z jej często luksusowym urządzeniem, a nawet obfitą biblioteką z różnej treści papirusami — do średniowiecznego zamku. W części germańskiej — od pierwotnego dworzyszca (!) do takiegoż zamku. A dodajmy, że obwarowanie miasta czy dworu sięga niewątpliwie na zachodzie czasów wcześniejszych, gdyż i sama potrzeba ochrony tam pierwszej wystąpiła wskutek napadów z zewnątrz przychodzących. To wpływało nieraz na zupełną zmianę krajobrazu. Odróżniamy zresztą barbarzyńców przez dłuższy czas pozostających w jednym miejscu i tych, którzy skłonni są (z różnych powodów) do migracji raczej w pewnych okresach, a i nomadzi nawet (nie rolnicy więc!) nie zmieniają wciąż swych pastwisk i stepowych koczowisk. Autorka stoi i tu na gruncie *Lendnahme*, jako czynnika decydującego. W pewnych wypadkach mogłoby to wynikać z przykładów zapożyczonych wyrazów germańskich w narzeczach północnofrancuskich i wallońskich. To może mieć lokalne swe uzasadnienie, gdy przykłady z toponomastyki całej Francji zdają się świadczyć o czymś zgola innym. Drużyny wojskowe raczej więc były nieliczne (mimo zasady wędrowania *cum caritatibus*, tj. z żonami, dziećmi i całym dobytkiem) i przewrotu ludnościowego nie powodowały, a śladem tego jest właśnie prawie zupełny brak nomenklatur germańskich na terytorium dawnej Galii. Inaczej było na Półwyspie Bałkańskim z wędrownkami słowiańskimi, które powodowały znacznie większe przemiany narodowościowe i to aż do klasycznego Peloponezu włącznie. Domieszka słowiańska dopiero później się tu zhellenizowała. W innych więc częściach Półwyspu. Wytwarzały się tu z czasem nowe tereny etniczne.

Do powyższych kwestii dyskusyjnych dochodzą jeszcze dalsze. Autorka uznaje jako dynamiczny pewien element, który nazywa *kriegerisches Herrentum* i stwierdza, że to nie miało charakteru *urban, stadtgründend oder stadtsessig*. Ale i zbliżenie tych objawów z życiem wiejskim jest może zbyt śmiałe. Co by na to powiedzieli tak liczni, zwłaszcza wśród poetów różnych okresów, miłośnicy spokojnego życia na wsi. A więc np. nasz Jan Kochanowski z odległości już przeszło czterech wieków! Do konkluzji chyba zaliczyć zdanie: *der germanische Herrenstand lebt grudherrlich* (s. 41). W istocie tak zdaje się być niegdyś, choć autorka nie dochodzi do takiej konkluzji.

Wiemy że kolonowie pochodzenia germańskiego przedostawali się masowo na terytoria rzymskie i znajdowało to zapewne pełne uzasadnienie gospodarcze. Wyżej bowiem o wiele rozwinięte rolnictwo śródziemnomorskie, w okresie rzymskim sławne już swym pisarstwem agrarnym, powodowało napływ siły robotniczej spoza

granic imperium. Wyjście natomiast robotnika rzymskiego poza granice imperium nie miało zgoła warunków zarówno gospodarczych, jak i politycznych. W zakresie relacji handlowych obrót był żywy i przyjmował charakter obustronny (por. zezwolenia władz rzymskich na przekraczanie granicy, jak słyszymy w wypadku pogranicznego ludu Hermundurów, a co zestawiamy w tym wypadku z kupcami rzymskimi zapełniającymi pogrodzia sweskie). Tylko charakter tego przekraczania był zupełnie różny. Imperium potrzebowało w szczególności rolników, a tych napływ przybierał dość pospolicie charakter masowy i mógł obejmować całe ludy barbarzyńskie, w czasach pokoju oczywiście za zezwoleniem władz rzymskich. Na terytorium rzymskim szukali też niejednokrotnie schronienia przywódcy germańscy, którzy doznali niepowodzeń w swym kraju, co nie wykluczało zresztą powrotu do stron rodzinnych w celu znalezienia tam większej jeszcze kariery. Taki przywódca mógł w pewnych wypadkach zostać wielką postacią historyczną, jak to było właśnie z wielkim Marbodem z I w. n.e. Gocki książę Catualda też odegrał swą rolę. W każdym wypadku chodzi tu o osobistości naczelne. Prosty chłop po powrocie do swej rodzimej Germanii nie miałby tu co robić. Warunki bez porównania bardziej prymitywne w zestawieniu z tymi, które zostawiałby w rejonie śródziemnomorskim, decydowały w takich okolicznościach, o kierunku samej migracji. Proces ten dokonywał się w znacznym stopniu w sensie jednokierunkowym, ku południowi i zachodowi. Sama wymowa źródeł jest w tym wypadku zupełnie równoznaczna.

Imperium rzymskie potrzebowało kolonów i tych chętnie przyjmowało u siebie. Tylko że ci przychodnie dobrowolnie lub nie, a też większymi grupami czy pojedynczo się osiedlając, nie nadawali charakteru kulturalnego krajowi, lecz do niego się dostosowywali. W istocie kolonie germańskie pochodzenia nie pozostawili po sobie śladów w toponomastyce, to znaczy w śladach kulturowych. To samo da się powiedzieć o uczestnikach wojskowych drużyn germańskich z okresu rozpadania się imperium. Tutaj występuje natomiast inne, nie mniej charakterystyczne zjawisko, które na swój sposób zacierało, a nie utrzymywało ślady związków z dawną Germanią. Tradycja królewska Franków, którzy byli na zachodzie twórcami najznacznieszego i najbardziej długotrwałego królestwa, wyprowadzała jego królów ni mniej ni więcej tylko z antycznej Troi, wzorem zresztą nie kogo innego, jak samych Rzymian i ich najpopularniejszego poematu narodowego, to znaczy „Eneidy” Wergiliusza. Czy nie chodziło o nic więcej, jak po prostu o zatarcie pochodzenia od barbarzyńców, a pojęcia żołnierza i barbarzyńcy już od czasów samego Wergiliusza mocno zbliżyły się do siebie. Trudno się dziwić, że i późniejsi Frankowie podszywali się pod potomków Eneasza z Troi, jak tego chciała legenda rzymska. Tym bardziej owe opowieści nie mogą zatrzeć prawdziwych genealogii też i kulturowych. Bez antyku nie byłoby *medium aevum*, a to w znaczeniu nie tylko kulturowym, ale i gospodarczym. Np. całość prac górniczych jest pochodzenia rzymskiego. Poganin oznaczało wieśniaka, a cywilizacja miejska kontynuowała antyk łącznie z jego przemianami.

Z poprzednich rozważań jasno, jak się zdaje, wynikało, że o monistycznym rozwiązaniu zagadnień genezy miast nie może być mowy, a przeciwnie działały w tym procesie różne bardzo czynniki. Trzeba się więc nastawić bardziej na analizę pozostawionego nam materiału źródłowego, aniżeli zdobywać „szklane góry” z jednego od razu zamachu. Musimy więc wciąż mieć na uwadze nie jedno, ale dwa przynajmniej główne źródła powstawania miast i samego typu miejskiego, wynikające z podziału na miasto administracyjno-kulturowe (*villes de la bourgeoisie*) i miasta przemysłowe albo (w okresach zwłaszcza dawniejszych) rzemieślniczo-handlowe (w dalszym rozwoju tego typu jako tzw. *villes industrielles*).

Poligenetyczne początki miast germańskich widoczne są również z materiału nagromadzonego w książce Ennen. Germańskie *oppida*, a więc jeszcze z okresu rzymskiego, były miejscem zamieszkania, jak świadczą o tym pozostałe resztki

materialne. Za tym samym przemawiają teksty Cezara czy Tacyty. Zwycięscy Rzymianie pozwalali Swewom, *ut de oppidis demigrarent liberos, uxores, suaque omnia... deponerent* (Bell. Gall. IV, 19). Zupełnie słusznie nawiązuje również autorka w tym miejscu do budownictwa celtyckiego. Pisze więc (s. 44): *Der Burgenbau ist meist Ausdruck starker Völkerbewegungen, oder doch zum mindesten kriegerischer Verwicklungen. In der Latenzzeit gehören die ständig besiedelten oppida der Kelten als wirkliche Städte dem Mittelmeerkulturkreis an.* Wyraźnie też ten typ odróżnia się od grodów-schronisk w nagłym niebezpieczeństwie. Polityczne więc motywy wyraźnie tu wchodzi w grę. Między Celtami, Germanami i tak samo późniejszymi Słowianami na podstawie posiadanych danych historycznych nie zdają się zachodzić jakieś głębsze różnice. We wspólnym tym obrazie znajdujemy przeciw jeden wyraźny brak. Wszystkie te trzy najznaczniejsze (występujące w źródłach historycznych raczej kolejno, co wynikało z warunków geograficznych i historycznych) ludy barbarzyńskiej środkowej Europy ulegają tym samym wpływom śródziemnomorskiego południa. Pozwolę sobie wysunąć twierdzenie, że u Germanów — chronologicznie środkowych — zjawisko to występuje bodaj najwyraźniej, a mam tu na myśli zwłaszcza Swewów, nie zaś bardziej peryferyjnych Gotów. Poruszałem już olbrzymią rolę tzw. przez Tacytą *negotiatores et lizae*. Można wnosić, że w podgrodziach markomańskich, czy w ogóle swewskich było od nich aż rojno, skoro Tacyt tak wielką przypisywał im rolę, że aż *oblivio patriae* im wyrzucał. W ich własnym państwie rzymskim było im widocznie zbyt ciasno i to skłaniało ich do przekroczenia limesów. Warunki kolonialne zawsze zresztą (w Afryce wczorajszej czy na pograniczu Mandżurii i carskiej Syberii) sprzyjały wszelkim kolonialnym zyskownym przedsięwzięciom. Pogranicze rzymskie nie ustępowało w niczym nowszym wzorom kolonialnym, a zwłaszcza gdy w samym imperium, jak dowodzi tego proces sycylijskiego Verresa, a to w miarę stabilizowania się stosunków w prowincjach imperialnych, zupełna dowolność administracyjna napotykała na przeszkody.

W poglądach naszych na tę sprawę przełomowe znaczenie posiadał już tom V „Historii rzymskiej” Teodora Mommsena. Na terenie dzisiejszej Słowacji, a więc po drugiej stronie limesów, ufortyfikowane placówki rzymskie sięgały paruset kilometrów oddalenia od właściwej idealnej granicy. Rewelacyjne odkrycia polskich archeologów w Łysogórach w postaci masowej produkcji żelaza można połączyć tylko z wdarciem się tutaj kapitału rzymskiego, tak samo zresztą jak skok w produkcji ceramicznej (za którym idzie późniejszy regres) i dawniej już znana sprawa handlu bursztynem relatywnie zresztą raczej wyolbrzymiona. W tym świetle również późniejsze, a więc z wcześniejszego średniowiecza pochodzące wielkie *oppida* w południowej Polsce stają się bardziej zrozumiałe, choć może łatwiej je przypisać koczownikom, okresowo tylko tu przebywającym, aniżeli ludności najdawniej tu zamieszkałej. Zwracając się ku zachodowi pas lössów sięgał na zachodzie środkowego Śląska, czy nawet Łużyc. Długo jeszcze później była to droga na zachód, gdyż aż do XIII w. W starożytności przez długi czas wyraźniejsza była droga północna (Gotów) Łaba-Dunaj, ale i Scyci, więc Metanaści czy inni, wcześniej zaczęli swą wędrówkę na zachód.

Ta ostatnia migracja (stepowa) najbardziej była obca sprawie powstania miast. Barbarzyńców środkowoeuropejskich sprawa miast wcześniej już zaczyna interesować, a sąsiedztwo śródziemnomorskie rychło do naśladownictwa zachęcało. Przełomowy moment trudno jest jednak cofać poza granice polspolice przez nas nazywane historycznymi. Łączy się to w szczególności z rozwojem czy raczej z początkami pisemności. Dla Germanów biblia Ulfilasa jest zapewne punktem wyjścia, tak jak dla Słowian działalność braci soluńskich, Cyryla i Metodego. Pełna samodzielność powstania run jest fikcją, a najdawniejsze zabytki runiczne czepiały się pogranicza południowego, a nie północnego. Tak samo więc, jak i we wpływach

dotyczących różnych dziedzin kultury, w języku. Migracje same przedzierały się zwykle pograniczem kultur i państw. Nazywamy je migracjami barbarzyńskimi. Nie wyklucza to znacznego w nich udziału rolników. Krajobraz kulturalny tworzyło budownictwo. Wyższym stopniem osiadłości były grody. Miasto w początkach było raczej skupieniem nieobronnym. Prócz nazwy wskazuje na to również topografia miasta przy grodzie. Nie wykluczało to oczywiście późniejszych zmian. Początkową przeciwstawność długo jednak jeszcze można napotkać. Do wyrównania tych różnic przyczyniały się z czasem dwory panów w sposób typowy (Wrocław i inne najstarsze grody polskie), a tak samo klasztory nazywane ostatnio wspólnotami chrześcijańskimi (J. Kłoczowski). Na końcu tego rozwoju mamy zakony żebracze i ich działalność wśród najbiedniejszej ludności miasta, gdy same prądy przez nich reprezentowane przychodziły nawet z bardzo daleka.

Na podstawie pisarzy rzymskich (Cezar, Tacyt) autorka stwierdza istnienie „oppidów” u szeregu ludów germańskich. Za pewną rzecz uważa, że wpływ celtycki był wszędzie. Można się w zupełności na to zgodzić, zważywszy starszeństwo Celtów na terenie całej środkowej Europy. Sama rzecz jednak bynajmniej się nie tłumaczy. Tym bardziej dalszy postęp tych miast, którego stwierdzenie dość nawiasowo nasza autorka przyjmuje. Ale ostatecznie nawet celtyckie „burgady”, jak to widzimy również ze śladów archeologicznych czy też pisemnych, tak bardzo daleko naprzód nie postąpiły. Uważam za konieczne przyjąć inny jeszcze wpływ, który ma też swe źródła obce, ale rozgrywa się ostatecznie na miejscu. Są to dobrze poświadczane, a tak niesłusznie powszechnie zapomniane wpływy rzymskie. W tym wypadku kraje swewskie, na których Swewowie siedzieli od pewnego czasu w samym środku dzisiejszej Europy, zdają się nawet wyprzedzać, czy raczej prześcigać sąsiadujących z nimi lub też wyprzedzających ich chronologicznie Celtów. Mamy zaś do tego najlepsze źródła pisemne z samym Tacytem na czele. Ludzie tego typu co Marbod, przebywający zresztą przez wiele lat na terytorium rzymskim, którego inny współczesny pisarz rzymski Waleriusz Paterculus nie mniej dosadnie określił jako *natione magis quam ratione barbarus* (tj. z pochodzenia tylko, a nie z przyswojenia sobie wiadomości barbarzyńca), doszedłszy do władzy w rozległym państwie swewskim z ośrodkiem w dzisiejszych Czechach, mogli się stać istotnie poważnym przeciwnikiem dla imperium w czasach Tyberiusza, a więc w momencie, gdy samo imperium, z powodów głównie wewnętrznych, wyrzekało się dalszych zaborów. Otóż w tym właśnie naprawdę przełomowym momencie mieści się podgrodzie zwłaszcza markomańskie, a więc ludu wówczas przodującego politycznie i wojskowo wśród innych ludów swewskich, a Swewom przeciwstawiamy jedynie Gotów spośród ludów germańskich środkowej Europy. Roilo się tu wprost od spekulantów rzymskich. Byli oni równie chciwi jak głośny Verres z Sycylii. Dla państwa bardziej niebezpieczni. Tak było z punktu widzenia patrioty rzymskiego, za jakiego był powszechnie uważany Tacyt.

Jest rzeczą zadziwiającą, że te kapitalne wiadomości autorów rzymskich nie zostały zgoła wciągnięte do inwentarza naszych wiadomości o zaczątkach miejskich na obszarze wielkiej Germanii. Tym razem wielkiej dosłownie, tj. tak właśnie, jak ją rozumieli autorzy rzymscy. A więc łącznie z dawniejszymi tutaj, zwłaszcza na południu, Celtami i dawniejszymi jeszcze Ilirami, o których tenże Tacyt wspomina jeszcze na północ od górnego-środkowego Dunaju. Łącznie też z Wenedami-Słowianami, którzy na mapie etnicznej czasów rzymskich tak znaczną odgrywali rolę. A w przeciwstawieniu tylko do ludów Dacji na południu, stepowych Sarmatów na wschodzie i Estów (ludy litewskie) nadbałtyckich wraz z dalszymi jeszcze ludami północy, w których już tylko Finów możemy się dopatrzeć. Dla tamtych krajów i ludów problem miast właściwie jeszcze nie istniał, z tą przecież poprawką, że pierwsi wnosili do środkowej Europy problem miejski przybysze ze śródziemnomorskiego południa. To wynika z najlepszych i współczesnych źródeł antycznych

i faktu tego nie możemy pominąć. Z faktu tego wynika inne jeszcze bardzo ważne następstwo — udział czynnika obcego w procesie powstawania miast. W tym wypadku jednak czynnik porównawczy z innego jeszcze względu nie może być pominięty. Chodzi mianowicie o rolę Celtów, którym słusznie można przyznać bardzo znaczny udział w powstawaniu starożytnej, a pośrednio i średniowiecznej Europy. Otóż jak się przedstawia rola Celtów w sprawie urbanizacji naszego kontynentu? Nie jest ona zbyt znaczna, ażeby nie powiedzieć, że jest zaskakująco mała.

Przypomnijmy, że o cywilizacji miejskiej można już mówić w krajach dzisiejszego bliskiego Wschodu, z silnym zresztą zabarwieniem religijno-kapłańskim. Kultury miejskie wyrastają mimo to z silnym podkładem rolniczym. Dopiero peryferię zajmują ludy koczowniczo-pasterskie (nieraz pokrewne). Podobne różnice wynikną też w okręgu dalszego wschodu (chińskiego-mongolskiego).

W kręgu śródziemnomorskim wcześniej powstaje urbanistyczna cywilizacja etruska, powstaje wśród przybyszów z azjanickiego wschodu śródziemnomorskiego, a promieniuje w kierunku zachodnim tegoż morza i dalej drogą morską ku północy. Kupiecko-morskim ludem byli — jak wiadomo — Fenicjanie i wyprzedzili w tym Greków. Najpełniejszy przeciw proces urbanizacji dokonał się na zachodzie w kręgu cywilizacji greckiej, a następnie rzymskiej. Ten świat był również bazą miejskiej kultury na całą odtąd przyszłość. Ludy celtyckie, germańskie i słowiańskie możemy wszystkie zaliczyć do rolniczych. Wpływ kultur miejskich należał dopiero do przyszłości. W tym miejscu dochodzimy do punktu nas w tej chwili szczególnie interesującego. Celtowie z Galii, a więc odłam ich największy i historycznie najznacznější, ulegli romanizacji, jak to pięknie przedstawił u nas Stefan Czarnowski, a równoległe do tego też urbanizacji. Dodajmy, że w górskich szalasach alpejskich najdłużej przetrwały ślady celtyckie z zabytkami kultury wieśniaczej. Podobne zjawisko wystąpi zresztą wśród Słowian bałtyckich i nad Adriatykiem. Chrześcijańska *ecclesia*, choć z grecką tak nazwana, służyła w tym wypadku szerzeniu się romanizmu. Hellenizm i latynizm uprawiały tu raczej lokalną rywalizację zmierzającą do jednego celu. Śladem tych spraw jest dziś wielojęzyczność Bałkanów. Ale wróćmy jeszcze na chwilę do Celtów. Nie wymaga bliższych wyjaśnień sprawa przetworzenia się dawnych burgad celtyckich w późniejsze miasta rzymskie. Po prostu dawny system burgad celtyckich został zastąpiony przez różny zupełnie od niego porządek miast rzymskich. Różny nie tylko z wyglądu, ale również ze swych zadań. Późniejsze miasto średniowieczne było bardziej wyodrębnione z całego okręgu i pozostanie to już właściwością całego okresu. Wieki średnie w wielu rzeczach zmieniały system rzymski. Cel główny pozostawał jednak ten sam, któremu służyły miasta jeszcze rzymskie. Miasta średniowieczne stawały się więc ośrodkami handlu i rzemiosł, jak były nimi w czasach rzymskich, a to mimo zmian poszczególnych czynników dominujących w mieście. Już w badaniach dawniejszych, w szczególności Henryka Pirenne'a, wystąpiły wyraźnie sięgające czasów rzymskich tzw. *cellaria fisci* w Marsylii dla całego handlu północnego, ale z punktem ciężkości na południu śródziemnomorskim. W dalszych badaniach zarysował się wyraźnie zwiększony udział północy (F. Vercauteren), a więc zmierzający do wyrównania dotychczasowych różnic, co z wielu względów było również zastanawiające. Przykład krajów celtyckich i celtyckiej również ludności przemawia za bliskim związkiem całego późniejszego rozwoju z punktami wyjściowymi. W środkowej Europie było zupełnie inaczej. O tworzeniu miast rzymskich nie mogło tu być mowy. Możliwe były natomiast potężne kolonie utworzone przez owych *negotiatores et laxae*, o których tak interesujących rzeczy dowiadujemy się z autorów rzymskich. Przepaść między jednym światem i drugim jest zupełnie widoczna. Jeżeli więc w obu wypadkach świat śródziemnomorski wkraczał na obszary środkowej Europy, działało się to w zupełnie innych formach. Nie przyszła romanizacja wcielonego do państwa kraju, lecz typowa kolonia. Granicami jej były limesy na

południu i na wschodzie (od strony środkowej Europy), które przekraczano dowolnie, na co mamy dość liczne dowody; powstawały nawet budowle rzymskie i wprowadzano załogi rzymskie na grunt kolonialny. Niesłuszne jest ograniczanie jego wpływu do drogi handlu bałtyckiego. Rezultatem tych samych wpływów, może donioślejszym, był rozwój eksploatacji rud żelaznych i masowej też produkcji ceramiki w pewnych rejonach, przy pomocy, jak można sądzić, pracy niewolnej, na co mamy pośrednie dowody. Z końcem państwa rzymskiego wpływy te zaginęły. Cały ten epizod powszechnej historii ma jednak inny jeszcze aspekt dla nas w tej chwili najdonioślejszy. Wbrew nawet swej woli krąg swewski był wciągany w spekulację aż nadmierne przedsiębiorczych i z pewnością bardzo bezwzględnych aferyzistów z peryferii rzymskiej. Nie było to bez wpływu także na drugą stronę. Wiemy również, że świat swewski Tacyta brał udział w wymianie granicznej, a synowie do niedawna zupełnie jeszcze barbarzyńskiej Germanii brali żywy udział w handlu przygranicznym. Dotyczy to w szczególności jednego z ludów swewskich, który później zniknie prawie z widowni, ale w początkach należał do najruchliwszych i najbardziej przedsiębiorczych. Byli to Hermundurowie z pograniczem ściślej związani, a mający bardzo żywe stosunki w paru jednocześnie kierunkach. Obok Longobardów, ale w większym od nich stopniu, angażowali się w sprawy polityczne i handlowe po obu stronach Karkonoszy. Z ludami nieswewskimi mieli też żywe stosunki, a należą tu w szczególności Lugiowie. Wspólnie z nimi niepokoili oni *regnum Vannianum* znajdujące się po drugiej stronie Karkonoszy. Obok tego mieli jednak zupełnie uregulowane stosunki handlowe z sąsiednią prowincją rzymską aż do Ratzbony i z tej strony mieli zapewnienia od Rzymian prowadzenia swobodnego handlu. Bogactwo tych różnorodnych relacji było znacznie większe, aniżeli to zazwyczaj skłonni jesteśmy sobie wyobrażać. I teraz następuje punkt kulminacyjny całego obecnego wywodu. Chodzi jeszcze o cele polityczne strony rzymskiej, w czym ujawnia się metoda polityczna imperium. Minał już z całą pewnością okres ciągłych zaborów. Przyczyny tego należy szukać nie w wydarzeniach zewnętrznych, w postaci więc zamierzonego zagrożenia ze strony ludów germańskich. Te na wielu punktach były raczej zepchnięte do defensywy. Wojska rzymskie, i to zarówno siły lądowe, jak płynąca przez ujścia Łaby flota, poważnie zagrażały w pewnych momentach niepodległości całego kraju. Jeżeli jednak nie powtórzyła się tu historia Galii podbitej przez Cezara, wynikało to przede wszystkim z przewagi celów politycznych wewnętrznych nad zewnętrznymi i to już od połowy mniej więcej rządów Tyberiusza. Wielkie wyprawy wojenne na terytoria sąsiadujące zakończone zwycięstwem groziły przewrotem w samym Rzymie. Pamiętano bowiem, że Juliusz Cezar najpierw podbił Galię, a później dopiero przekroczył Rubikon. Zahamowanie zaborów zewnętrznych łączyło się blisko z dążeniem do stabilizacji stosunków wewnętrznych. Polityka Tyberiusza nabierała charakteru wybitnie konserwatywnego. To jednak nie przeszkadzało rozwojowi stosunków handlowych i to właśnie trzeba mieć na uwadze. Mogło to być zarazem pewnego rodzaju kłapą bezpieczeństwa, a zwłaszcza w okresie, gdy ludzie typu Verresa było wielu i lepiej było apetyty ich zwrócić na tereny wielkiej Germanii, niż dusić je we własnych granicach. W dziejach Europy środkowej dla samego skupienia tu wielkich sprzeczności politycznych i gospodarczych „ciśnienie kotła parowego” było wciąż w wielkim napięciu, a stroną aktywną był po staremu jeszcze Rzym. Na gospodarstwo o osobnione stanowczo nie było tu miejsca.

Na tym nasze uwagi ogólniejsze zamykamy. Pozostaje jeszcze krótki przegląd rzeczy bardziej szczegółowych. Tzw. germańskie *oppida* nie odbiegają zbytnio od tego rodzaju urządzeń u innych ludów europejskiego kontynentu, a w szczególności narzuca się tu zestawienie z podobnymi urządzeniami u Celtów i Słowian, przed późniejszymi u jednych i drugich przemianami. Zestawienia takie mogą być pouczające dla późniejszych słowiańskich raczej wypadków. To, że znaczne nawet

oazy mogły mieć stałe zaludnienie, nie jest rzeczą zaskakującą, wzięwszy pod uwagę dużą spoistość grup, nawet w ruchu. Narzuca się wobec tego sprawa przedziału między koczownikami z jednej i stałym osadnictwem z drugiej strony. Zależało to przede wszystkim od rozwoju rolnictwa, które przywiązywało do gruntu, chociaż i osiadli rolnicy ruszają z miejsca całym narodem w pewnych chwilach, do czego bardziej względy polityczne, aniżeli brak utrzymania ich pobudza. Pewne odleglejsze podobieństwa dadzą się więc i tu odnaleźć mimo różnic. *Oppida* tych ludów, pomyślane jako stałe punkty oporu, w pewnych momentach przestają być takimi, czyli że ustalenie się w jednym punkcie ustępuje miejsca przenoszeniu się i to nieraz w okolice mocno odległe. Po przebyciu wędrowki i po nowym ustaleniu się wraca jednakże stała osiadłość. Czy germańskie *oppida* wpłynęły na powstanie średniowiecznych miast niemieckich? W terminologii swej autorka jak gdyby się wahała między miastami „europejskimi” (też na karcie tytułowej) i „germańskimi”, które używane są pospoliciej. Oczywiście nie jest to tym samym. W okresach wcześniejszych zupełnie wyraźne przeciwstawienie zachodzi właściwie tylko między miastem (*sensu stricto*) śródziemnomorskim a „miastem” (w stadium tworzenia się tego pojęcia) w części północnej kontynentu. O zupełnej samorodności w przestrzeni obu tych obszarów trudno byłoby mówić. Można by się pokusić za to o wytknięcie dróg szerzenia się urbanizacji, a zresztą nie tylko w tej najodleglejszej epoce. W tym kierunku też zmierza nasz najbardziej podstawowy dowód zaczerpnięty z czasów Tyberiusza, a z pewnymi zmianami z czasów następujących.

Problemu „niemieckiego” grodu nie można zbyt idealizować. Tym niemniej, nawet przy znaczących oddziaływaniach zewnętrznych, forma miejscowa w pewnym okresie może być postacią godną naszych zainteresowań i to nie tylko wtedy, gdy ktoś obcy z tytułu swego „starszeństwa” rości sobie zbyt szerokie prawa. Zresztą i na drodze naszej autorki szukanie „typów” okazało się ostatecznie najbardziej użyteczne. Dla ratowania odrębności miejskiego życia „germańskiego” pomocną okazuje się północ germańska. Krąg to jednak bardziej ograniczony i powszechniejsze przykładanie tej miary bodaj czy się okaże w pełni użyteczne. Nie należy też zapominać, że zajęcia handlowe tego okresu, a chodzi zwłaszcza o północne społeczeństwa morskie, nie znajdują się w rękach klasy miejskiej, w znaczeniu całego późniejszego średniowiecza. Kupiec jest tutaj bardziej wojownikiem aniżeli odwrotnie. Zbliżenia do tych form pręcej można by szukać w antycznym okresie Greków. Handel zawodowy szuka klienta i pragnie z nim pozostać w jak najlepszych relacjach. Bliskość morza przez długi czas budziła lęk, gdyż stamtąd przychodzili najbardziej niebezpieczni napastnicy. Podobne przykłady dawała zresztą nie tylko północ, ale również południe, choć w czasach najwcześniejszych. Rolnicy wędrowali, a zaliczyć tu trzeba ludy najbardziej znane, z żonami, dziećmi oraz z całym żywym i martwym inwentarzem, co czyniło podobne wędrowki zbliżone do wędrowek dzisiejszych Cyganów. Stąd też przesiedlenie się dwu znacznych ludów nordyckich (Gotów i Gepidów) na trzech statkach (tonaż ca 30 ludzi) przez całą szerokość Bałtyku było łatwiejsze w bajce niż w rzeczywistości. Mimo przesadnych kształtów w tych wędrowkach kupieckich coś z prawdy pozostaje, ale pod warunkiem zachowania w tym miary. Te zaś najdalsze szlaki były często odgałęzieniami szlaków kupieckich. Do bardziej pouczających należą w tym wypadku szlaki łączące południowy wschód europejski z krajami azjatyckimi (Klucze w s k i).

Sprawa gentylnych (rodowych) związków społecznych należy z pewnością do bardziej interesujących, ale z osiadłością miejską najslabiej chyba się wiąże. Ten problem można więc chyba odwrócić, kładąc nacisk na zanikanie typowych form rodowych w okresach rozwoju społeczności miejskich. Tradycja rodzin kupieckich nie jest zupełnie tym samym, można ją traktować jako objaw zanikający lub przynajmniej słabnący w nowych warunkach urbanistycznych. Wielkie rodziny

bankierskie są tylko bardziej pozornym wyjątkiem. To są właśnie te wyjątki zachowawczej tradycji, a z pewnością nie nowy wynik późniejszej epoki. Wykazanie punktów stycznych między wasalstwem a rodami, i to tylko w określonych warunkach, nie uprawni nas do istotnego zbliżenia tych dwu instytucji.

Ustęp książki poświęcony „przewodnictwu” najmniej jasno bodaj się tłumaczy. Za całkowicie trafne uznajemy za to określenie, że pokrewieństwo krwi i gildia nie są sobie pokrewne (s. 76). Feudalizm we wszelkich postaciach i związek rodowy są genetycznie i praktycznie zupełnie sobie obce, a jedynie możliwość komunikowania się z sobą obu przeciwnych zjawisk byłaby do przyjęcia. Późne średniowiecze daje o wiele więcej materiału do jego pełnego instytucyjnego rozpoznania. Trudności może sprawiać tylko połączenie z instytucjami dawniejszymi i bodaj czy nie generalne ich sobie przeciwstawienie (zasada rodowa albo gentyzm w proponowanej przez nas terminologii i wszystko co należy do instytucji feudalnych). Problematyka późnośredniowiecznego miasta jest natomiast rzeczą odrębną. To należałoby uwzględnić raczej w odrębnym artykule. Nasz przyczynek dotyczy w szczególności wczesnych oddziaływań nieraz odległych, a pobudzających do tworzenia się ośrodków miejskich na obszarach dotąd w tym kierunku nie rozwiniętych. Zasadnicze stwierdzenia historii powszechnej z rozpoczynającego się schyłku antyku w tym świetle nabierają też szczególnego znaczenia. W tym oświetleniu zyskują wiele na zrozumiałości również czasy późniejsze. W omawianej książce na te związki różnych i odległych krajów, idąc w tym zresztą za zdobyczami nowszej archeologii i historii (antycznej) więcej też początkowo zwrócono uwagi. Tej właśnie metody i jej zastosowania do badanej rzeczywistości zabrakło bodaj w późniejszych rozdziałach. Może brak podobnych i równorzędnych wysiłków dla późniejszego (w tym i słowiańskiego) średniowiecza stanął temu na przeszkodzie. W nielicznych tylko punktach możliwości takie dało się wskazać. Do najlepiej wysświetlonych odcinków należałoby zaliczyć wczesne średniowiecze, głównie na zachodzie. Da się wskazać podobne możliwości, zresztą bynajmniej nie identyczne, również dla początków drugiej epoki rzymskiego antyku. A łącznie z jeszcze wcześniejszym okresem, opanowanym przez archeologów śródziemnomorskich, wydaje się to być fragmentami tej samej jednolitej całości.